



Anna Puchajda z domu Żelechowska

Hania mając 13 lat ukończyła już I kl. gimnazjalną. Została przyjęta do harcerstwa i dostała zezwolenie na udział w obozie harcerskim, na który pojechała. Wróciła pełna wrażeń, radosna, ale po latach napisała: „... to były ostatnie dziewczęce chwile beztroski i radości...”.



Anna Żelechowska

Od 1937 r. mieszkaliśmy w Wieliczce, w służbowym mieszkaniu Żupy Solnej Wieliczka, w której nasz ojciec był kierownikiem laboratorium.

II wojna światowa wybuchła 1 września 1939 r. Dnia 3. września 1939 r. dyrekcja Żupy Solnej wydała nakaz przymusowej ewakuacji wraz z rodzinami, obowiązujący wszystkich fachowców. Dotyczyło to także naszej rodziny. W nieprawdopodobnym tłumie uciekających, zgubiliśmy się – ojciec z siostrą szukali mamy i mnie u rodziny na wschodzie, my wróciliśmy do domu pewne, że oni już tam są. Zamknięta granica niemiecko-radziecka nie dopuszczała do przemieszczania się ludności. Mogli powrócić dopiero jesienią 1941 r.



Matka, Józefa Żelechowska z domu Nowosielska

Mamie wypowiedziano służbowe mieszkanie, które nam już nie przysługiwało, z uwagi na nieobecność ojca. Znajomi pp. Sochaccy udostępnili nam pokój z kuchnią w swoim domu. W Wieliczce pozostaliśmy, już razem z ojcem i siostrą, do wiosny 1942 r., kiedy to przenieśliśmy się do Warszawy. Tam ojciec otrzymał pracę w prywatnej fabryce papieru „Frasaszek”. Tym razem pp. Tumanowiczowie przyjęli nas do jednego pokoju w swoim mieszkaniu w Warszawie, na Żoliborzu, przy ul. Ks. Felińskiego 4.



Ojciec, Andrzej Żelechowski

Hania i ja podjęłyśmy naukę na tajnych kompletach ogólnokształcących z zakresu liceum i gimnazjum, działających pod przykrywką szkoły handlowej i ogrodniczej. Hania równocześnie podjęła pracę w fabryce "Franaszek", w obawie przed przymusową wywózką do Niemiec.



Ewa Żelechowska

Powstanie w getcie warszawskim, nierówna walka bohaterów narodu żydowskiego, zakończona klęską, przeżyliśmy bardzo boleśnie – Hania była świadkiem jednego z tragicznego epizodów walki.

1 sierpnia 1944 r. – godz. „W” – wybuchło Powstanie Warszawskie. Ojciec nie mając własnej broni mógł jedynie pomagać przy kopaniu okopów. Hanię przyjęto jako sanitariuszkę do polowego szpitala dra Raczka przy ul. Śmiała.

Dnia 28 września 1944 r. rano Hania wróciła z nocnego dyżuru w szpitalu. W tej samej chwili do naszego domu weszli uzbrojeni żołnierze niemieccy. Po przeszukaniu obydwu piętér, doszli do piwnic, gdzie znajdowali się wszyscy lokatorzy, od początku powstania mający tu stałe schronienie. Na ulicy, na którą kazano nam wyjść zgromadzono już wielu mieszkańców. Pod eskortą prowadzono nas przez zrujnowaną Warszawę – jak napisała siostra:

„... szliśmy w tym dziwnym pochodzie, a dookoła ruiny, dymy, ogień, ach! Warszawo, co się z tobą stało?!...” Doszliśmy do zapełnionego ludźmi kościoła na Woli. Stamtąd, może następnego dnia, gnano nas do torów kolejowych i wagonami towarowymi przywieziono do Pruszkowa. Co jakiś czas segregowano niezliczone tłumy, oddzielając mężczyzn od kobiet z dziećmi. Przedostaliśmy się na plac przeznaczony dla osób mających pozostać w Generalnej Guberni. Niespodziewanie żołnierze niemieccy weszli na plac i wybrali 70 osób, w tym naszą rodzinę. Zapełniono nami ostatni pusty wagon bydlęcy przeraźliwie długiego pociągu. Nie wypuszczano nas przez 2, może 3 dni. Gdy otwarto wagony, musieliśmy pod rozbawionym okiem żołdaków spełnić fizjologiczne potrzeby.

Po jakimś czasie pociąg zatrzymał się na terenie męskiego obozu koncentracyjnego Neuengamme. Otwarto wagony i kilkakrotnie w ciągu dnia mężczyznom kazano wyjść z wagonów, po posiłki dla wszystkich będących w wagonach. Po odniesieniu kotłów mężczyźni zawsze wracali. Ale ostatni raz, jakby nie w porze posiłku, wywołani mężczyźni wyszli, ale nie powrócili. Mimo krzyków, pytań kobiet i dzieci – nie dostałyśmy odpowiedzi. Nadszedł wieczór, bardzo zimna noc. O świcie mgła powoli ustępowała. Nagle usłyszałyśmy muzykę. Jakaś kobieta krzyknęła: „nasi idą”. Kto mógł, także moja siostra, starał się dostać do wysoko usytuowanego małego okienka, wykrzykując nazwisko swego bliskiego. Siostra krzyczała: „Żelechowski !! Żelechowski!!”. Ojciec, jak wielu, podbiegł do wagonu. Hania widziała, jak drżał z zimna, ale płaszcza nie chciał, tylko papierosy, zapewniając, że zaraz będą wracać. Przecież wiedział, co go czeka. Hania ostatnia go widziała i we wspomnieniach pisze: „...obraz jego szlachetnej twarzy utkwiał mi boleśnie w sercu na całe życie...”. Po chwili pociąg ruszył, a krzyk kobiet i dzieci zdawać by się mogło, dosięgnie niebios..... tak się nie stało.

Ojciec stracił życie w obozie Neuengamme, mając zaledwie 47 lat. Mamie nadesłano z tamtego obozu oficjalną wiadomość datowaną na 27 lutego 1945 r. na adres komanda obozu Ravensbrück, dołączając Todesbescheinigung (akt zgonu) z potwierdzeniem, że badający lekarz nie stwierdził nienaturalnej przyczyny śmierci. Nie byliśmy w stanie w to uwierzyć.

Todesbescheinigung.	
Jahr 194	Nr. des Sterberegisters
Eingetragen beim Standesamt Nr.	
1. Vor- und Zuname: (Bei Kindern ohne Namen, Name des Vaters, ev. bei unehelichen Name der Mutter.)	Andrzej Zezechowski,
2. Datum der Geburt: (Bei totgeborenen Kindern das Alter der Frucht.)	Jahr 1897 Monat Mai Tag 6.
3. Geschlecht:	männlich
4. Stand, Geschäft:	Chemiker
5. Wohnung, Strasse, Nr. (eventl. Angabe des Stock- werkes, Hofes od. Kellers)	unbekannt
6. Ort des Todes:	KL.Hmb.-Neuengamme
7. Tag u. Stunde d. Todes:	8. Jan. 1945 7,00 Uhr
8. Krankheit:	Enterocolitis
Feuerbestattung unbedenklich Dass ich Obengenannte sei ärztlich behandelt, die Leiche gesehen und untersucht und an ihr Zeichen der eingetretenen Verwesung und keine Spur einer unnatürlichen Veranlassung des Todes gefunden habe, bescheinige ich.	
Neuengamme, den 8. Januar 1945	
KL 38/4 43 500 000	
Hauptsturmführer.	



POLAK - ANDRZEJ ŻELECHOWSKI osadzony
w obozie koncentr. NEUENGAMME po POWSTA-
NIU WARSZAWSKIM - 8-10.10.1944 r. ozna-
czony nr 54946 zginął 8.01.1945 r.,
Żona Józefa i córki Anna lat 17, Ewa
lat 15 oddzielone w Neuengamme, przetrans-
portowane i osadzone w obozie koncentr.
Ravensbrück oznacz. nr nr 77150, 77149,
77148

Kserokopia z oryginału nadesłanego przez
władze obozu koncentr. Neuengamme do żony
do obozu koncentr. Ravensbrück

Kserokopia oryginału aktu zgonu Andrzeja Żelechowskiego

Nas przetransportowano do Frankfurtu, do łaźni. Musiałyśmy rozebrać się i oddać odzież do odwszenia. Powróciła mokra, śmierdząca, zimna. O ubieraniu się przy śmiechu żołnierzy Hania napisała: *”...to było takie poniżające...”*. Wróciłyśmy do wagonów, pociąg ruszył. Późnym wieczorem lub nocą transport zatrzymano na terenie niemieckiego kobiecego obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Hania opisuje pierwsze wrażenia – *„...olbrzymia brama oświetlona reflektorami, skierowanymi na nasze twarze, z każdej strony żołnierze z olbrzymimi, ujadającymi psami, zdawać by się mogło, wyrwą się ze smyczy i zagryzą nas. Okrzyki „ raus, raus, schnell, schnell !!!”* – a z wysokiego wagonu trudno było wyskoczyć. Pędzono nas między barakami do olbrzymiego namiotu z cegłami wbitymi w ziemię, na nich garstki słomy. Przy dwóch otworach namiotu stały „kible” na odchody – a że wiele z nas chorowało, szybko zapelniały się, wylewając zawartość strużką na ziemię. Żądano oddania wszystkich wartościowych przedmiotów, z których powstała spora sarta, bo oddawano piękną pościel, kołdry, koce, srebrne sztucce, złoto. Nie pamiętam, kiedy dostałyśmy jakiś posiłek. Nie wiem, po jakim czasie musiałyśmy wyjść z namiotu, by na placu apelowym, stojąc nago (był to jedyny raz ustawiania nas bez ubrań) kolejno podchodzić do stolików, gdzie w dużych księgach spisywano nasze personalia. (Hania zwróciła uwagę na piękną, młodą, kobietę w wysokiej ciąży, której goły brzuch z lubością trącał szpicrutą siedzący z boku oficer niemiecki). Otrzymałyśmy czerwone winkle z literą „P” – Polka – i szare taśmy z numerami. Od tego czasu numery te służyły do identyfikacji więźniarek. Mnie oznaczono numerem 77148, siostrę 77149, mamę 77150 – ten ostatni numer mama wyszyła na woreczku szkolnym, w którym siostra nosiła kiedyś buty. Woreczek – z jej imieniem i nazwiskiem „Hania Żelechowska” (i doszytym nr obozowym mamy) zachował się do dzisiaj.

Po tym ponumerowaniu nas, co jakiś czas niewielka grupa kobiet, także z dziećmi, bądź to była wyznaczana, bądź zgłaszała się sama do wyjścia z namiotu, mając nadzieję na przeniesienie do baraków lub innego miejsca, może nieco lepszego od brudnego i zimnego namiotu.

W namiocie zostało nas niewiele. Zaczęto wozić nas na pola obozowe. Na przyczepie traktora stały więźniarki niemieckie, w czystych pasiakach i białych chusteczkach na głowie. Dla nas zabrakło ubrania obozowego. My nie mając żadnej możliwości choćby obmycia się, byłyśmy brudne, na pewno cuchnące, zawszone. Niemki nie zgadzały się na jazdę z nami do pracy. Przeniesiono nas na pięterko, do szopy stojącej na polu, gdzie hulał wiatr przez nieszczelne deski, a między posłaniami – słoma i po dwa cienkie kocyki – biegały myszy. Potem przyniesiono długi stół i dwie ławy, niewielką miskę do mycia – na ok. 60 osób – wodę przywieziono w beczkowie, stojącym na polu, wreszcie podłączono żeliwny piecyk, opał trzeba było jakoś zdobywać. Skoro świt wpadał dozorca Klag (czy Klak) z potężną lagą i walił nią w poręcz schodów. Musiałyśmy galopem wychodzić, ale czy i kiedy coś jadłyśmy? Na kartoflisku dozorca

wyznaczał dość duże kawałki, „od tyndy do tyndy”, z których należało dokładnie zebrać wszystkie kartofle wyrzucone z ziemi przez konną koparkę. Mama nie mając sił, zbierała na leżąco, ja klęcząc, a nasza Hania zawsze zdążyła zebrać nie tylko ze swego kawałka, ale i trochę z naszych, przy „okazji” wciskając butem co niektóry kartofel z powrotem do ziemi. Ciężkie kosze, pełne kartofli trzeba było podnieść wysoko i wrzucić do stojącej ciężarówki. Po ziemniakach musiałyśmy wyrywać z ziemi duże, ciężkie buraki pastewne. Był zimny i mokry październik, często z przymrozkami. Kazano nam wejść między dwa rzędy buraków i równocześnie obiema rękami wyrywać buraki. Lodowate i mokre buraki raniły obolałe ręce. Wreszcie praca na polach zakończyła się.

Przekazano nas do Arbeitsamtu w Prenzlau, który miał obowiązek rozdzielania więźniarek do firm lub do bauerów, za które obóz koncentracyjny będzie otrzymywać ustaloną stawkę – (o ile wiem 4 RM - za jaki okres? może za dzień?). Hania nie mogła znieść głodu, jaki nam dokuczał – w południe przywożono nam niezbyt ciepłą, rzadką zupę z niedogotowanymi ziemniakami i marchwią, musiała nam wystarczyć mała ćwiartka chleba na dzień, czasem kawałek margaryny lub buraczanej marmolady. Hania powiedziała do mamy: *„mamusiu, ja mogę pracować, ale nie mogę nie jeść, może znajdzie się coś dla mnie?”* Kilku bauerów już odjeżdżało z wybranymi przez siebie więźniarkami. Została jedna para gospodarzy. Mama po niemiecku poprosiła urzędniczkę o miejsce dla Hani. Bauerzy o nazwisku Kutz zgodzili się na Hanię. Nie wyglądali na to, że są zadowoleni z „wyboru”. Zaskoczyło ich nasze czułe pożegnanie z Hanią, bo – właściwie o co chodzi, oni będą za nią płacić, ona ma się im podporządkować. Na prośbę mamy podali jej swój adres – wieś Bergsdorf.

To siedem km od Zehdenick a/Havel, miejsca, gdzie mama i ja w grupie kobiet i dzieci, zostałyśmy przekazane do pracy w szwalni, firmy Marguardt, mającej swoje miejsce na terenie cegielni – męskiego komanda obozu koncentracyjnego Ravensbrück (jest o nim wzmianka w książce dr Wandy Kiedrzyńskiej pt. „Ravensbrück”). Praca od rana do późnego wieczora przy świetle elektrycznym. Musiałyśmy naprawiać grube, ciężkie, często brudne lub zakrwawione żołnierskie płaszcze i mundury. Palce miałyśmy pokłute, obolałe. Pilnował i uczył nas, jak należy takie uniformy naprawiać niejaki Brzeziński. Był wymagający, żądał dobrego i w miarę szybkiego wykonania pracy, bo to należało do jego obowiązków. Nigdy na nikogo nie podnosił głosu.

Młodzi Polacy z Łodzi pracujący u okolicznych bauerów – nie wiem, czy przymusowo tu przywiezieni? – dowiedzieli się, że do obozu koncentracyjnego Ravensbrück nadszedł transport kobiet i dzieci wywiezionych ze stolicy po Powstaniu Warszawskim. Znanymi sobie sposobami kilkakrotnie późnym wieczorem przychodzili do nas. Było ich czterech lub pięciu, zmieniali się. Wiedzieli, że najpierw pracowałyśmy na polach obozowych, a potem prawdopodobnie poznali wszystkie miejsca, do których odesłano poszczególne więźniarki. Łódzianie spragnieni byli wiadomości o Powstaniu Warszawskim, o wszystkim, co działo się w całej Polsce. Nam starali się dodać otuchy i nadziei

na przetrzymanie trudnego czasu. To oni dotarli do jednej z warszawianek z naszego transportu, która wraz z synkiem ok.7-letnim została przydzielona do pracy u bauera. Miałam okazję zobaczyć, jak wyjątkowo szczęśliwie trafiła. Gdy któregoś wieczora chłopcy (tak ich nazywałyśmy) przyszli do niej, powiedziała im, że otrzymała od władz obozu Neuengamme oficjalne zawiadomienie o śmierci swego męża, oddzielonego od nich tak, jak nasz ojciec. Nie mogła w to uwierzyć. Jak dowiedziała się – nie wiadomo skąd – pewna grupa więźniów Neuengamme, została przeniesiona z macierzystego obozu do komanda pod Berlin. A może tam i jego przenieśli? Chłopcy wiedzieli, że nasza mama także otrzymała takie zawiadomienie o śmierci męża, a naszego ojca. Warszawianka natychmiast wyraziła gotowość pomocy, w miarę możliwości, w uzyskaniu wiadomości o losach mężczyzn, których zatrzymano w Neuengamme, a których rodziny są z nami w Zehdenick.

Prosi o podanie kartek z nazwiskami i imionami tych, o których ma się dowiedzieć. Chłopcy mogą przyjść za dwa dni, razem z kimś z rodziny więźniów Neuengamme. Była piękna, księżycowa, zimna noc. Dom w lesie. Chłopcy przyprowadzili mnie i moje koleżanki, a także z Bergsdorfu moją siostrę. W pięknie urządzonym, ciepłym i jasnym pokoju leżała zapłakana kobieta i śpiący już, rozpalony z płaczu chłopczyk. Warszawianka przywiozła jakże okrutną wiadomość potwierdzającą śmierć swego męża i naszego ojca. O innych więźniach nic się nie dowiedziała. Moja siostra podjęła szybką decyzję – ona także chce sama pojechać, zobaczyć, sprawdzić. Od warszawianki otrzymała dokładne instrukcje jak jechać, gdzie wysiąść, gdzie dojść, nazwy ulic. (Wielka szkoda, że nie opisała tej trasy) .

Tak się stało, bo dość stanowczo dopraszała się zgody na wyjazd od bardzo niechętnych bauerów. Skoro pismo z obozu Neuengamme, wraz z Todesbescheinigung (akt zgonu) ojca, było datowane na 27.II.1945 r., wyjazd siostry mógł być najwcześniej przed 10.III.1945 r. W jej wspomnieniach czytam: „... jechałam z wielkim strachem, gdyż Polakom nie wolno było jeździć pociągami. Największe kłopoty zaczęły się w Berlinie. Do wiadomej mi dzielnicy dostałam się środkiem lokomocji miejskiej, ale tutaj wałęsałam się, nie mogąc znaleźć odpowiedniej ulicy. Szczęściem natrafiłam na Polkę tu wywiezioną, a ta zaprowadziła mnie na tyły baraku przez ukryte w ogrodzeniu przejście”. Bauerzy dali dla ojca mały bochenek chleba, ale siostrze nie dali ani pieniędzy na podróż, ani nic do zjedzenia. Hania wyruszyła w drogę z wielkimi obawami, ale i z jakąś nadzieją na cud. Winkiel z literą „P” schowała pod klapę płaszcza, buzię owinęła chustką, udając ból zębów. Hania spotkała i rozpoznała mężczyznę, który jechał w naszym wagonie w transporcie z Pruszkowa. Niósł w drżących rękach obierki ziemniaczane. On także Hanię poznał. Opowiedział, że w baraku w Neuengamme był razem z naszym ojcem. Widział jak słabnie, jak bardzo puchły mu nogi, jak nie mógł się na nich utrzymać, nie mogąc dojść do pryczy, upadł zemdłony. Przy pryczy stała paczka od jego mamy. Nie wiedział o tym, stracił świadomość. Współwięzień ojca mówił jeszcze o tym, co potem się

stało, o czym nie mogę pisać, gdyż jest to dla nas zbyt bolesne. Hania pozostawiła mu chleb, który dali jej bauerzy. Siostra spotkała tam także innego więźnia o nazwisku Pawlus, też z naszego transportu, którego żona i ok.7-letni syn Zbyszek zostali wraz ze mną i moją mamą przydzieleni do szwalni firmy Marguardt Zehdenick. Powiedziała mu o tym. On – nie wiem kiedy – dokonał samookaleczenia, tracąc trzy palce u ręki, dostał się do szpitala. Potem uciekł z obozu, dołączając do żony i syna i ukrywał się w tym niewielkim baraku do końca wojny. Połanie Pawlusowej i jej syna znajdowało się pomiędzy grubą, drewnianą belką podtrzymującą dach baraku, a boczną ścianą, za którą znajdował się magazyn i pomieszczenie dla Brzezińskiego. Dzięki zdobytej dużej płachcie materiału (może było to prześcieradło), mogli zasłonić swoje połanie od reszty wnętrza. Z drugiego boku mama i ja byłyśmy ich sąsiadkami.

Takie schronienie nie byłoby możliwe na terenie cegielni, gdzie firma Marguardt miała swoje pomieszczenie. To był 11 listopad 1945 r. – taką mam zapisaną datę „przydziału” do szwalni. Nie pamiętam kiedy – może koniec stycznia lub lutego 1945 r. przeniesiono szwalnię z terenu cegielni – komanda męskiego obozu Ravensbrück, do niewielkiego, drewnianego baraku. Wchodziło się do małego, wąskiego korytarzyka, w którym stał spory „kibel”. Stąd były wejścia do dwóch pomieszczeń, z których jedno było przeznaczone dla nas, tj. ok. 60 osób, a może wtedy było nas już nieco mniej. W nim jadłyśmy, spałyśmy, myłyśmy się i pracowały. Naszym połaniem było trochę słomy rozłożonej bezpośrednio na podłodze z desek, może i prześcieradło i po dwa cienkie kocyki. Na środku stał duży stół, służący przede wszystkim do pracy. Tuż przy wyjściu z tego pomieszczenia do korytarzyka znajdował się żeliwny piecyk. W drugim pomieszczeniu był magazyn i pomieszczenie dla dozorującego, Brzezińskiego. Czy on nie zorientował się, że w baraku nagle znalazł się mężczyzna, którego ujawnienie na pewno skończyłoby się tragicznie dla wszystkich. A koniec wojny był bliski.

U bauera Hania musiała podobać wielu obowiązkom, wielu rzeczy nie umiała wykonywać, wiele prac było dla niej za ciężkich, za trudnych. Hania była dość słaba, niedożywiona, tak po przejściach na wschodzie, jak i wobec trudnej sytuacji materialnej, w jakiej byliśmy w czasie okupacji i wreszcie niedostatecznego wyżywienia w obozie. Najgorszym dla niej stało się dojenie kilku krów, które, jakby broniąc się, smagały ją ogonami po twarzy, po głowie. Gospodarze żądali dokładnego wydojenia krów, a jej delikatne, nie przywykłe do trudnej pracy ręce, nie mogły sobie z tym poradzić. Jak w jednym ze wspomnień napisała, za tą nieudolność bauer uderzył ją mocno w policzek. Hania dostawała dość skromne posiłki, ale nie skarżyła się. Przydział śniadaniowy składał się z czterech dość cienkich kromeczek chleba, ledwo czymś posmarowanych. Wiedząc, że my głodujemy, bo po przeniesieniu nas z cegielni nie raz zapominano o nas, nie dowożąc nam południowych posiłków, odkładała ze swojej racji jedną kromeczkę dziennie, by raz w tygodniu nam je

przynieść. To było do czasu, kiedy gospodarz zauważył, że Hania coś ukrywa. Poszedł za nią do jej, jakże skromnego pokoiku i wrzeszcząc kazał przyznać się do winy. Zabrał zebrane kromeczki, wysypał z jej harcerskiego chlebaka ok. 1 kg ziaren, też przeznaczonych dla nas – nie była to pszenica – grzmiał, oburzony jej postępowaniem. Ukarał Hanię zmniejszeniem dziennej porcji o jedną kromeczkę. Hania odczuwała głód i przy jednym z rannych udojów, łyknęła ze skopka trochę mleka. Kutz to zobaczył – nie obeszło się bez krzyku.

Coraz głośniejsze słychać było huk wybuchów, także armatnich, przelot bombowców. Któregoś dnia Hania zdyszana wpadła do naszego baraku. *„Mamusiu, cała wieś będzie ewakuowana, bauerzy żądają, bym jechała z nimi. Nie zgodziłam się bez was. Puścili mnie po was, ale musiałam przysięgnąć, że wrócę, chodźcie szybko!!”* Pospiesznie pożegnałyśmy się z naszymi współwięźniarkami i ich dziećmi, zabrałyśmy mały węzełek i przebyłyśmy siedmiokilometrową drogę do Bergsdorfu. Zniecierpliwieni bauerzy byli już spakowani w dwa wozy, na pierwszym szerokie siedzenie dla gospodarzy, nad nim spory daszek, na drugim sterta dobytku ułożona tak, by nawet nie myśleć o miejscach dla nas. Nie byłyśmy tym zaskoczone, ani zdziwione. Dwa konie spokojnie ruszyły. Dzień był piękny, pogodny, dobry na pieszą wędrowkę. Na szerokiej szosie mnóstwo wozów, wózków, pieszych. Nie wiem, jak długo szłyśmy, ile kilometrów pokonałyśmy. Przed nami las, na szosie ktoś kieruje ruchem. Mamy wjechać do lasu i tam na razie pozostać. Wiemy, że Elba przed nami, bardzo blisko, wojska amerykańskie i angielskie, za nami – a kto wie, może już z nami wojska radzieckie. Wszystkich ogarnia lęk. Postój w lesie nie trwał długo. Mamy z lasu wyjechać, ale najpierw przepuścić kolumnę radzieckich czołgów. Wyjeżdżamy, na drodze żołnierz radziecki chorągiewką wskazuje kierunek ruchu. Mamy powracać inną drogą. Jeszcze przed i za nami wiele pojazdów, które gdzieś po drodze rozjeżdżają się na różne strony. Słońce grzeje, jeszcze nie za mocno. Chłoniemy piękno przyrody – lasy, łąki, krzewy, tego widoku tak długo byłyśmy pozbawione. Wokoło cisza. Na razie wracamy z bauerami – i co dalej? Mama nie ma siły, by dalej iść pieszo. Hania nalega na usadowienie jej na wozie. Gospodarz jedynie zatrzymuje konie, ale nawet nie drgnie. To Hania udaje się na drugim wozie zrobić dla mamy miejsce – nie jest wygodne, z trudem może na się na nim utrzymać. Szosa pustoszeje. Nagle jakiś maruder radziecki podchodzi i każe bauerowi oddać zegarek. Kutz się sprzeciwia i prosi Hanię, by powiedziała, jak dobrze jej u nich było. Ona mruczy pod nosem: *„...powiem, powiem, za te odebrane kromeczki chleba”*. Zegarek trzeba oddać, żołnierz ma karabin. Bauer orientuje się, że Hania ani nie może, ani nie chce ich bronić. Niepotrzebnie obarczali się nami. Szosa schodzi w dół, jesteśmy na niej sami. Niespodziewanie wyłania się skądś następny radziecki żołdak. Żąda, by Hania z nim poszła, by pracować dla wojska i obiecuje, że będzie mogła odejść po zakończeniu prac. Hania rozmawia z nim po rosyjsku (nauczyła się tego języka będąc zmuszona przez dwa lata pozostać na terenach Polski zagrabionych przez Związek Radziecki), potem mówi do bauera, by

spokojnie jechał w dół szosy, mnie każe jakoś ulokować się koło mamy. Co myślała wtedy? Ujechaliśmy dość daleko, nie spuszczać oczu z Hani. Nagle widzimy, że Hania biegnie za nami, wskazuje na siedzenie pierwszego wozu i każe bauerowi pędzić „*co koń wyskoczy*”. Bauer podcina konie, pędzimy. Tymczasem żołnierz zorientował się, że Hania ucieka, chociaż obiecała pobiec tylko po czapkę. Zaprawiony w boju, biegnie co sił w nogach, dogania nas, zatrzymuje zdejmując karabin z ramienia i kierując w stronę Hani. Bauerzy nie obronią jej, nie ma o tym mowy. I nagle, zza zakrętu wyjeżdża piękna limuzyna. Hania gwałtownie podnosi rękę, dając znak zatrzymania. Z samochodu wysiada wysokiej rangi oficer radziecki i pyta o co chodzi. Hania tłumaczy po polsku, on nie rozumie, więc szybko przechodzi na język rosyjski. Teraz jest jasne. Oficer zabiera żołnierzowi karabin – jak się okazało nie był nabity, mógł być jednak niebezpiecznym narzędziem, nas uspakaja i zapewnia, że możemy bezpiecznie wracać. To była nieprawdopodobna łaska Boża. Dziękując odjeżdżamy, jeszcze oczami przekazujemy mu podziękowania. Ani przed tym, ani potem nie spotkaliśmy tak pięknego auta, ani tak wysokiej rangi oficera.

Już spokojnie dojechaliśmy do wsi Bergsdorf. Przywitali nas Polacy, już przygotowani do powrotu do Polski – jak to dobrze, że zdążyliśmy wrócić. Jest też i Polak, który pracował u Kutzów. Traktor z przyczepą był gotów do jazdy, czekali na nas. Bauerzy pozwolili nam porządnie wymyć się, ale nie pamiętam ani żadnego posiłku u nich ani niczego na drogę. To było nieważne. Chyba byli jedynymi, którzy nie pożegnali się ze swymi „niewolnikami”, ani nie podziękowali im za pracę. Było nas kilkanaście osób, mężczyźni, kobiety, dzieci.

Po ujechaniu ok. 40 km wojsko radzieckie odebrało nam traktor, doradzając, by zabrać konie i wozy tamtejszym niemieckim gospodarzom. Jak to tak po prostu tego dokonać. Podzieliliśmy się na grupy – mama, siostra, ja, p. Nikiforowa z córką i dwóch mężczyzn – mieliśmy do dyspozycji dwa piękne konie, wóz i bryczkę przyczepioną do wozu. Tym wehikulem pokonaliśmy drogę z Niemiec do Polski, by po przekroczeniu polskiej granicy – pierwszy polski słup graniczny wywołał łyzy wzruszenia – dostać się na Ziemię Odzyskaną, do miejscowości Königsberg, obecnie Chojna. Tam zatrzymali nas żołnierze radzieccy odbierając konie, wóz i bryczkę, tym samym pozbawiając nas możliwości dalszej jazdy. To zmusiło nas do pozostania w Chojnie.

Siostra w czerwcu 1947 r. wyszła za mąż za porucznika Wojsk Ochrony Pogranicza. Zrezygnowała z posady referentki w Urzędzie Miejskim, jej mąż został zmobilizowany. W kilka miesięcy potem wyjechali na lubelszczyznę.

Mama i ja wyjechałyśmy z Chojny w 1951 r.

Moja Siostra Hania, była dla mnie niedościgłym wzorem. Pełna radości życia, dowcipu, wyrozumiała, pomocna dla każdego, zawsze umiejąca przekraczać bariery lęku, strachu, niepowodzeń. Gromadziła wokół siebie całą

rodzinę. Miała dwóch synów, jedną córkę, ośmioro wnuków, siedem prawnuczek i ośmiu prawnuków. Była szczęśliwą matką. Dzieci zawsze otaczały ją wielką miłością i troską, a gdy przed kilku laty zabrakło jej sił, do ostatnich chwil życia czuwały przy niej – w jej domu.

Odeszła do Pana dnia 11 grudnia 2022 r. spokojnie, pełna wiary, przeżywszy 96 lat.

Ewa Żelechowska-Stolzman
Kraków, 13.03.2023 r.

TRAGICZNE MIEJSCE

Jesienią 1944 r. po Powstaniu Warszawskim, tu przywożono - jak niewolników - w zamkniętych wagonach towarowych rodziny z Polski, tu ich rozdzielano - mężczyzn osadzono w KZ-Neuengamme, gdzie wielu zginęło, kobiety i dzieci przewieziono do KZ-Ravensbüćk i tam osadzono - wiele zginęło.

Pamięci tych wydarzeń -
ci, którzy przeżyli i rodziny
tych, którzy tu zginęli
maj 2010